

KRONIKA VII RAJDOBOZU STARYCH KONI

Rakowo, 20-28 sierpnia 2011

Anno Domini 2011 Stare Konie najechały Rakowo w sobotę 20 sierpnia. Frekwencja była imponująca, listę Krzysiu zamknął wiele miesięcy wstecz. Przyjechali: Krzys i Grażynka, Heniu i Marycha, Renia i Andrzej, Ania Zgaga, Ania T., Jaga i Walter, dwie Formisie i Jerry, Olo i Hania, Eta i Paul, Andrzej żeglarz z bratankiem, Iwona i Zbyszek, Jola i Gero, a na



pierwszy weekend dotarli ponadto wuja Tom i z Gdańska Ewa z synem Adamem i Sławkiem.

Zastaliśmy znane kierownictwo i znane „stare kąty”, ale nie obyło się bez zadymy związanej z lokowaniem ludzi w pokojach, co jak na dobry początek było dość stresujące. Ostatecznie po debatach i pertraktacjach wszyscy zostali ulokowani i

turnus można było uznać za otwarty.

Rajdobóz, jak każdy wcześniejszy, był wyjątkowy - a to z paru powodów:

- tyle Starych Koni chciało dosiadać koni, że koni brakło. Tradycyjnie ustalone dwie grupy musiały buszować po lesie o różnych godzinach, nie dało się tego robić jednocześnie,

- była absolutnie optymalna pogoda, dużo słońca i ciepła, ale bez uciążliwych upałów. Zażywaliśmy częstych kąpeli, co nie się zdarza każdego roku,

- hasło tegorocznej zabawy o wdzięcznym brzmieniu „kapelutek i...” tak rozgrzało



wyobraźnię, że poszukując z wielotygodniowym wyprzedzeniem odpowiednich atrybutów, niektóre dziewczyny wykazały sympatyczną nadgorliwość. Zgromadzone wielkie ilości kapeluszy spowodowały modernizację hasła przewodniego - poszło w eter polecenie, że chodzimy w kapelutkach każdego dnia i do dowolnych ubiorów. Krótkie spodnie i kapelusz z piórkiem będą bardzo dobrze widziane. Skutkiem takiego obrotu sprawy do Rakowa dowieziono całe



samochody kapeluszy, były takie panie, co miały ich po 10 i więcej. Większość tych kapeluszy była ogólnie dostępna, więc przebieranie się nie miało granic, a przyście na posiłek z gołą głową było bardzo źle widziane,

- wszystkie atrakcje obozowe były tradycyjne i nieskończenie endorfinujące, co pogłębiło wręcz rodzinną więź uczestników, bo jak wiadomo tradycja scala na dobre i na złe, szczególnie ta z endorfinami.

W **niedzielę** po śniadaniu odbyły się 2 jazdy o różnych godzinach pod wodzą Krzysia i Formisi, gdyż Ania (szefowa stajni) była na wyjeździe, a Konrad (brat Ani) nie miał czasu. Poza tym i tak nie mieliby czego osiąść.

Pozostali w tym czasie zbierali grzyby, rowerowali lub leżakowali. Niestety grzybów nie było zbyt dużo, a jeśli już, to głównie kurki i kozaki. Tak się składa, że termin Rakowa wypada prawie co roku po pełni, a jak wiadomo po pełni grzyba się w lesie nie uświadczy. Niewątpliwie należy to przemyśleć i coś z tym fantem



zrobić, gdyż lasy rakowskie są bezkresne i powinno się z nich wracać z pełnymi wiadrami.

Ale co tam, najważniejsze jest gonić króliczka, wszyscy to wiedzą. A naganialiśmy się co niemiara.

Czas środkowo-dzienny spędziliśmy na plaży nad Komorzem, leżąc, pływając, zażywając słońca. Grupa bridżowa rozegrała małego roberka, spalając w słońcu po jednym boczku lub ramiączku.



Wieczorem zapowiedziano bal kapeluszowy i wszyscy się wygalantowali. Rozmaitość kapelutków przeszła wszystko, pomysłowość Starych Koni nie ma granic. Były kapelutki zwiewno-powiewne, z wstążkami, piórkami, kwiatami, a nawet z wiechciem słomy, były meloniki, wianki laurowe, kowbojskie, kaszkiet, sombrero i hełm żołnierski, a na jednym siedział ptaszek w klatce i wdzięcznie ćwierkał. Pojawiły się damy i dżentelmeni, strachy na wróble, Rzymianie, Hawajczyk i Meksykanin, a także biało-niebieska dziewczica z brodą i wąsami. Cała ta barwna zgraja zasiadła do stołu, bo głód kiszki skręcał po dniu pełnym tlenu i aktywności. Jednak zaraz po jego zaspokojeniu ruszyliśmy w tany, gdyż na to tylko czekaliśmy. Tańce były ostre, w parach, kółkach i wężykach. Królował rock, taniec naszej młodości, ale także wolniejsze rytmy, dla złapania oddechu. Zabawa była przednia i nikt za długo nie grzał krzesła. Ale były też pogaduszki w kuluarach, gdyż także i po to się spotkaliśmy, nie widzimy się na co dzień.





O północy zdrowiem konia zakończyliśmy biesiadę.

W **poniedziałek** konni pobieźeli do stajni i znowu w dwóch grupach ruszyli w



sosnowe knieje. Tym razem udało się jeździć w jednym czasie, gdyż odjechali gdańszczanie i nadal nie „używaliśmy” miejscowych przewodników. Lasy rakowskie są nieustannie fascynujące - przepastne, pachnące, pełne



sosen, wrzosów i oczek wodnych. Jazda konna po nich to balsam dla duszy i ciała, szkoda że nie wszyscy mogą tego balsamu zażyć. Ale ci co nie jeżdżą konno bynajmniej nie próżnują – ganiają za grzybami lub pedałują, nikt się nie obja.

W środku dnia odbył się spływ kajakowy po znanych akwenach wodnych. Choć temperatura powietrza w tym dniu nie była zbyt rewelacja, wodniacy wrócili zadowoleni i pełni wrażeń, bo szlak kajakowy od Komorza do Pile jest niezwykle malowniczy.



Inni w tym czasie najechali Czaplinek, gdyż urlop bez wydania kasy na nie koniecznie potrzebne dyrdymałki to urlop stracony. A już bez rybki w smażalni wręcz nie do pomyślenia. Tym samym wszyscy dopełnili tradycji i z satysfakcją można było zasiąść do popołudniowego



posiłku. Obiad - również tradycyjnie



- wzbudził komentarze, gdyż tradycją w „Śniegórce” jest krytykowanie czego się da. Ale zjedliśmy do ostatniego kęsa. Po południu dojechała pani masażystka i wymasowała nadwątlone organizmy, a wieczorem zaliczyliśmy wieczór filmowy, gdzie Andrzej pokazywał film z rajdu jubileuszowego. Co prawda była duża trudność z uruchomieniem sprzętu, ale w końcu się udało. Jednak głównym powodem wieczornego spotkania były urodzinki Krzysia, do czego się rano przyznał. Lat Krzysiu ma nie tak znowu dużo, ale ten VAT... W prezencie dostał flaszkę dobrego trunku, pięknie udekorowaną – stojącym na korku ptaszkiem (w charakterze aluzji i szczerych życzeń).

We **wtorek** jeździliśmy aż w 3 grupach, gdyż doszło do dużego zamieszania z końmi. W tym roku Ania nie wykazywała zbyt dużej aktywności przy rozdziale koni, uważając że po latach nie musi. Każdy wie na czym chce jeździć i z kim, więc po co zbytnia ingerencja. Jednak każdy wie również, że najlepsza jest demokracja sterowana, a za dużo demokracji to w ogóle kicha. Więc stale dochodziło do jakiejś niezgody w departamencie koni i grup, jednak na szczęście nie były to problemy poważnej wagi i ostatecznie ujeździliśmy się do woli.



Po jazdach odbył się drugi spływ kajakowy, gdyż doznań wodnych nigdy nie jest za dużo w tym pięknym zakątku świata, jeszcze nie do końca odkrytym. Szlaki wodne są tu puste, a widoki niezapomniane i niemożliwe do znudzenia. Inni jak zwykle buszowali po lesie lub po czaplińskich lumpeksach, a smakosze ryb obżerali się sieją i sielawą w staro-drawskiej smażalni. Konie, woda, grzyby i ryby – cóż można więcej chcieć od życia w piękny sierpniowy dzionek?



Po obiedzie odbył się mecz siatkówki, również tradycyjny jak wszystkie inne wyżej wymienione atrakcje. Tyle że tym razem grali nasi na naszych, a czirliderki miały wychodne.



W każdej drużynie było po jednej pani, które bardzo wdzięcznie mijają się z piłką, ale generalnie wszyscy grali z wielkim poświęceniem. Do boju obydwie zespoły zagrzewali wysokiej klasy trenerzy, udzielając porad technicznych i podając wysoko-energetyczne płyny. Co poważniejsze akcje zakrapiano konkretniej. Każda taka akcja nagradzana była

burzą, tak oklasków jak i w końcu gromami niebios - widocznie święci mieli dobry ubaw. Ale z powodu tych gromów niebiańskich mecz po dwóch setach przerwano, a do tego momentu była mniej więcej



równowaga, ze wskazaniem na trenerów. No, może genetyko-chemików nad koneserami polskich zamków, lub odwrotnie, kto to spamięta. Tak czy siak w środę dokończono, a wygrali oczywiście nasi, co było do przewidzenia.



W **środę** do konia dopchała się w końcu szefowa Ania, a grupa pod jej dowództwem przeżyła chwile grozy - wjechała w gniazdo os. Banda rozwścieczonych gadów zaatakowała rumaki i te wprost oszalały. Ania wydała polecenie szybkiej ewakuacji z siodeł, w czasie której Jaga znalazła się pod kopytami. Moment był stresujący i niebezpieczny, ale wszystko dobrze się skończyło, nawet osy przeżyły. Zdarzenie miało miejsce na ścieżce niedaleko stajni, którą rutynowo wyjeżdżamy w teren i którą wracamy. Należało więc pomyśleć o innej ścieżce, licho nie śpi.

Po koniach zwijając się szybko pognaliśmy do Czaplinka, gdyż kolejną, tradycyjną atrakcją rajdobożu jest rejs stateczkiem po jeziorze Drawskim. Tym razem pływaliśmy nie wszyscy razem, lecz w 2 grupach, gdyż obstalowany katamaran zabierał góra 12 osób. Aby uniknąć zamieszania przy formowaniu grup Henio zaproponował rano podział na grupy względem stron stołu, przy którym śniadaliśmy. Ci co siedzieli od środka stołu na lewo płynęli na I grupę, ci co siedzieli od środka stołu na prawo płynęli na II grupę. Wszyscy zaakceptowali taki podział, a rejs trwał godzinę dla każdej grupy. Na przystani zjawiliśmy się oczywiście w odpowiednich kapeluszach – no, może tylko panie, ale hasło przewodnie działało bez przerwy.



Jezioro jak zwykle czarowało urodą, spokojem i rozsypanymi koralami łabędzi i żaglówek. W sennym błogostanie ładowaliśmy akumulatory. Ci co akurat nie płynęli, buszowali po Czaplunku.



Wieczorem siedząc na tarasie pociągaliśmy dobre trunki, zagryzając orzeszkami i gawędząc o skomplikowanych sprawach tego świata. Ponieważ grzybiarki w każdej wolnej chwili penetrowały okoliczne lasy, więc także w każdej wolnej chwili na tarasie czyszczono

grzyby. Nie było ich dużo, ale zawsze... Oprócz własnych zbiorów grzyby dostarczał też wsiowy zbieracz, który wyczuł koniunkturę i po obiedzie donosił kosze kurek i kozaków. Po transakcji stał pod sklepem i raczył się z lubością zasłużonym piwem, czerpiąc inspirację na następny handelek.

Czwartek był dniem piknikowym, bo bez pikniku nie ma Rakowa. Na tegoroczny piknik Ania z Konradem wymyśliła nowe miejsce, miał to być Uradz. Jak zwykle podstawowym środkiem lokomocji na miejsce pikniku był koń, przy czym jedni zadeklarowali się jechać tylko w jedną stronę, inni w obie. Natomiast grupa nie jeżdżąca mała do celu dojechać samochodami.



Uradz to zapomniała, zagubiona w lesie wioska, miejsce nieistniejącego od dawna PGR-u. We wsi stoi zdewastowany pałacyk, obecnie w remoncie jako własność prywatna. Wioski popegeerowskie są delikatnie mówiąc mało urodziwe, a roboty budowlane prowadzone w pałacu i związane z remontem bałagan pogłębiały dyskomfort estetyczny. Ania wybrała to miejsce z paru powodów: po pierwsze miało się na deszcz, a nawet burzę, a koło pałacu była duża stodoła, w której można się było zmieścić razem z końmi. Stodołę miała obstalowaną z właścicielem pałacu. Po drugie w okolicy jest ostoja rzadkich ptaków i uroczy Przełom Rzeki Dębicy, wielka osobliwość krajoznawcza. Rzeką Dębica głęboką, polodowcową dolinką wije się wśród głazów spadających ze stromych zboczy i wpada do tajemniczego jeziora Dębno. Mieliśmy to zobaczyć. Ale to wszystko wiedziała tylko Ania, która właśnie siedziała na koniu, a w międzyczasie sprawy potoczyły się inaczej.



Załoga pierwszego auta które dojechało do Uradza stwierdziła, że jest brzydko, wszędzie pełno błota i nie ma gdzie przycupnąć. Szef budowlanych nie potwierdził, że na pałacowej posesji wolno będzie piknikować. Zawrócili więc do lasu drogą którą przyjechali, zostawili auto na skraju i ruszyli w knieje na szybkie grzyby - w tak zwanym

„międzyczasie”. Załogi trzech następnych aut także zde gustowały się miejscem i ustaliły, że nie chcemy tu piknikować. W ruch poszły komórki i po telekonferencji postanowiono przenieść imprezę na miejsce zeszłoroczne we wsi Okole. Konni zawrócili z drogi i



pogalopowali do Okola, samochód dostawczy jadący z wyżerką i stołami także zawrócił. Autorzy decyzji wsiedli do aut i odjechali z Uradza, a przejeżdżając obok pierwszego samochodu zaparkowanego w lesie

przystanęli i zaczęli grzybiarze nawoływać. Niestety grzybiarze właśnie się zgubili, a słyszane daleko nawoływania uznali za głosy innych grzybiarzy. Więc tamci odjechali i zostawili za wycieraczką instrukcje co jest grane i gdzie jechać. Grzybiarze stracili trop i jakiś czas szli w odwrotnym kierunku, sytuacja była nie wesoła. Aż w końcu Jerry wziął sprawy w swoje ręce. Poprzedniego roku zagubił się w lesie tak szpetnie, że nagle jakby zyskał nowy zmysł orientacji. W pewnym momencie zapodał w tył zwrot i grupa dotarła do samochodu. Po przeczytaniu listu ruszyli do Okola, zalecaną trasą przez wieś Strzeszyn. Niestety dojazd do Strzeszyna dziurawą drogą leśną był mało komfortowy i progresywnie się pogarszający. Zasięgnięto we wsi języka, z czego wynikało, że za wsią jest jeszcze gorzej, koleiny na metr wysokości. Krajanka poradziła wrócić do szosy głównej i pojechać dalej do wsi Silnowo, skręcić na przysiółek Dąbie i w nim namierzyć właściwy zjazd do lasu. Nadal było dużo błędzenia i niespodzianek, ale w końcu Okole się znalazło. Niestety dotarcie do wsi nie kończyło poszukiwań, we wsi nikt nie słyszał o żadnym pikniku, konnych nikt nie widział. W ruch poszły komórki, dzwoniło do różnych osób, które nie wiedzieć czemu nie siedziały na czatach z komórką przy uchu. W końcu ktoś tam się zgłosił i ostatecznie wysłano po zgubionych Konrada dostawczym busem, który doholował towarzystwo do celu. Żurek był już mało gorący, a kiełbaski na rożnie ostatnie, ale udręka błędzenia się skończyła, dając pole błogości konsumpcji. Okazało się że trzy pozostałe auta



błądziły także, krążąc wkoło jeziora w poszukiwaniu zeszłorocznej plaży i zdzierając opony na dziurach spory szmat czasu. Ale mieli szczęście spotkać na wertepach busa z Konradem, więc w końcu cel osiągnęli.

W tym czasie gdy ostatnie auto jeszcze stale błędziło, pozostali zaczęli piknik od kąpielii w jeziorze. Przewidywany deszcz nie nadszedł, wyszło słońce i czyste wody jeziora same się prosiły, by je zamącić. Nie wszyscy mieli stroje kąpielowe, ale nie był to bynajmniej przeszkodą. Eta skoczyła w fale okryta tylko pożyczonym ręcznikiem, a bratanek po prostu w skórze, jedynie z listkiem figowym w postaci rzuconej przez kogoś płetwy. Wzbudziło to spore emocje, na brzegu zebrał się damski tłumek. Ale jak wiadomo życie wyszło z wody i do niej tęskni, więc nic nie odwiodło spragnionych od zaspokojenia pierwotnych instynktów, nawet golizna.

Posiedzieliśmy nad jeziorem jakiś czas, a pogoda ustaliła się na słoneczną i ciepłą. Konie zaparkowane w lesie chrupały zieleninę i odpoczywały, my konsumowaliśmy las, wodę, lato i piwo. Miejsce jest bardzo urokliwe,



polanka wśród drzew, krystaliczna woda jeziora, stara kładka na wodzie, może mało wiarygodna, ale niezwykle malownicza. Posiedzieliśmy tam z dużą przyjemnością.

W końcu padł sygnał do odwrotu i zaraz na wstępie doszło do zamieszania. Jakimś cudem brakło konia dla prowadzącej Ani. Próba wynegocjowania aby ktoś, kto miał jechać drugi raz odstąpił Ani wierzchowca, nie powiodła się. Różne symulacje i debaty nic nie dały, tak że ostatecznie Krzyś lekko pod wpływem pojechał na wszelki wypadek z 2 facetami osobno, reszta miała jechać za Heniem, któremu Ania mniej więcej wytłumaczyła kierunek, generalnie radząc kierować się słońcem. Grupa oczywiście błędziła niemiłosiernie, ale jakoś nadużywając czasu i galopu zdążyła do domu przed nocą. Nad komentarzem spuśćmy zasłonę.



Wieczór spędziliśmy na tarasie.

W **piątek** jazdy konne odbyły się znowu w 3 grupach. A to z tego powodu, że 6-osobowa grupa krótko galopująca podzieliła się na dwie podgrupy, bo połowa z szóstki chciała jeździć z kłusem, a druga połowa bez. Od końskiego dobrobytu ludziom się w głowach przewraca. Grupa z kłusem miała obstalowaną sesję zdjęciową nad jeziorem Komorze, po której to sesji dziewczyny skoczyły w las i galopując teoretycznie znanymi ścieżkami nagle się zgubiły. Bo w tych lasach wystarczy nie przycelować w znaną ścieżkę, a już kolejna wyprowadza w całkiem nieznaną rewiry. Ale kołując po lesie odkryły nowe, przepiękne miejsca, a słońce malowało całą scenę soczystymi barwami późnego lata. Wrażenia były



niezwykłe. Gdy jednak kompletnie nie wiedziały jak jechać, przewodniczka rzuciła Metowi wodze i dzielny rumak - wahając się chwilę czy rzeczywiście ma „wziąć sprawy w swoje ręce” - wziął je i bohatersko rozwiązał sytuację. Tym sposobem przedłużając planowany czas jazdy prawie o godzinę dotarli szczęśliwie do stajni. Jazda była piękna.

Wieczorem umówiliśmy się na poprawiny baletów kapeluszowych, bo nie na darmo je woziliśmy. A mottem przewodnim była rocznica ślubu Ety i Paula. Paul wszystkim bardzo się

spodobał, łatwo dostosował się do życia obozowego i pomysłów zwariowanych Starych Koni,



chętnie we wszystkim uczestnicząc. A że z różnych rozmów i międzywierszy wynikało że stuknie im niebawem 25 lat wspólnego życia, nie można było tego faktu pominąć milczeniem. To „niebawem” to co prawda jeszcze 2 lata, ale przecież to oka mgnienie. I nie wiadomo czy będziemy w tym uczestniczyć. Ułożyliśmy więc cały scenariusz, a bezspornym punktem programu były zaślubiny.

Z tyłu budynku stoi wiata turystyczna, która miała posłużyć za ołtarz, a ślubodawcą był Krzyś oczywiście. Ślubujący dostali różowe kapelutki na głowy jako dopełnienie własnych ubiorów, do ołtarza Etę prowadził Henio, a Paula Olo. Pani młoda dzierżyła w ręce fioletowy bukiet, który zrobiły dziewczyny z polnych kwiatów pozbieranych za płotem. Reszta towarzystwa wyszykowała się paradnie jak na ślub przystało, a na głowach znowu pojawiły się nietuzinkowe okrycia. Prezentem ślubnym była laurka, nad którą napracowaliśmy się niemało. Życzyliśmy w niej zgodnego trwania



razem przy dyszlu. Krzyś wygłosił odpowiednią formułkę, związał młodą ręce różową wstążką i obrzęd został spełniony. Potem posypały się życzenia, odpalono szampana. Gdy opróżniliśmy kieliszki pani młoda dokonała oczepin, rzucając za siebie bukiet. Kwiatki poszybowały w powietrzu i dziewczyny rzuciły się łapać, a wpadły w ręce naraz dwóm damom. Ale poradziły sobie.



Po ślubie towarzystwo ruszyło na biesiadę, a po biesiadzie rozpoczęły się tańce i swawole. Tańczono zawzięcie, a paliwem energetycznym był przepyszny tort, jako uzupełnienie wędzonej sielawy podanej wcześniej. Tort młodzi pokroili, a gawiedź spałaszowała błyskawicznie.

Z powodu gorąca i duchoty wyszliśmy na taras i siedzieliśmy tam spory czas. Do towarzystwa dołączył ogromny, zielony świerszcz, łąził nam po kapeluszach i twarzach, nigdzie się nie śpiesząc. Niebo było niezwykle rozgwieżdżone, wielki wóz wydawał się być na wyciągnięcie ręki. Chciałoby się wskoczyć i odjechać, „nie dbać o bagaż, nie dbać o bilet, patrzeć jak wszystko zostaje w tyle”.





Zamiast tej podróży wróciliśmy na salę pokręcić się jeszcze trochę, a w końcu odśpiewać zdrowie konia. I ruszyć na pokoje.

W **sobotę** kapeluszomania przyjęła takie rozmiary, że dziewczyny ruszyły w kapelutkach do stajni - jedynie „i...” zostało w domu. Gdy wysiadały z aut i Ania je zobaczyła,



zaczęła piszczeć: „*ja też, ja też chcę*”.

Oczywiście kapelusz się natychmiast znalazł, gdyż mieliśmy ich dostatek i zagnieździły się wszędzie, nawet w bagażnikach. Wystrojone we wstążki i piórka ruszyliśmy w teren, a pogoda była jak malowana. Aby te piórka nie pospadały jazda była klusem, ale za to penetrowaliśmy przepiękne, nowe zakątki

- częściowo faliste łąki podobne do bieszczadzkich, częściowo las wysoko nad jeziorem widzianym głęboko w dole. Miałyśmy dużo uciechy i doznań estetycznych, nie chciało się

wracać.

II grupa konna w tym czasie najechała bar z



piwem i tam zalewali smutki związane z końcem obozu. Bo były to niestety ostatnie jazdy w Rakowie, nazajutrz wracaliśmy do domu.



Po południu odbyła się zapowiadana wcześniej przez Etę aukcja. Pod młotek poszły różne przedmioty osobiste jej i Paula, jako że w czasie 3-miesięcznego pobytu w Europie ich dobytek mocno się pomnożył, a jak wiadomo samoloty nie są z gumy. Już od rana



przedmioty te leżały w jadalni na widocznym miejscu nakręcając koniunkturę. Aukcja odbyła się w przeliczniku dolarowym, a osoby zainteresowane musiały wpłacić wadium. Młotkowym był Krzysiu, Eta natomiast prezentowała poszczególne przedmioty w sposób nie budzący wątpliwości, że bez nich dalsze życie

dam i dżentelmenów jest po prostu niemożliwe. Publiczność zgodziła się z tym w całej rozciągłości, tak że wszystko zostało sprzedane. Na koniec ci co je kupili, zaprezentowali zdobycze na własnych organizmach, jako że były to głównie przyodziewki z pewną domieszką biżuterii. Grażynka Krzysiowa obkupiła się w bieliznę płóciennie-koronkową w stylu retro, co wdzięcznie podsumowała: „*nareszcie mogę jechać na rajd bieszczadzki, nareszcie mam kowbojskie majtki*”. Ubawiliśmy się setnie, ze śmiechu bolały zuchwy i łzy lały się same.

Wieczorem tradycyjnie rozpalono ognisko pod wiatą, a szef Wojtek jak co roku nasmażył kiełbas i kaszanek i obzeraliśmy się niemiłosiernie. Piwo lało się strumieniami, inne trunki także, popłynął gromki śpiew po lesie. Te pożegnalne akcenty trwałyby zapewne dłużej, ale przyszła ulewa (też dość tradycyjnie) i rozgoniła towarzystwo na pokoje.

Siódmy jubileuszowy rajdobóz przeszedł do historii, ale nikt nie ma wątpliwości, że dobijemy do dziesiątki.... A może i dwudziestki. Bo co może stanąć na przeszkodzie?

PS

Na następny rok Krzysiu wymyślił nie mniej wdzięczne hasło: „*Kim z zawodu chciałeś być za młodu*”. Choć każdy wie kim chciał być, to i tak będzie o czym myśleć w długie, zimowe wieczory. Ale wytknięty cel jest motorem do życia, jego siłą napędową. .



